PLACÓWKA

ORGAN PEOWIAKÓW OKRĘGU ŚLĄSKIEGO

„PRAWDĄ I PRACĄ"

Nr. 12 | Katowice 1937 — Grudzień | Rok II



Chwała na wysokości Panu!

Niech śpiewa Syon! Niech brzmi ziemia cała
Odgłosem hymnów i radosnych lir.
O chwała! Bogu na niebiosach chwała!
A zbożnym ludziom pokój tu i mir!

M. Konopnicka.

*

Rok minął i znowu obchodzimy wielką uroczystość przyjścia na świat Syna Bożego. Gwiazda, która prawie dwa tysiące lat temu świeciła nad betleemską stajenką, przyświeca znowu ludziom, a po jej promieniach spływa do dusz ich spokój i pogoda.

Cicha noc zimowa ... Z wieży kościelnej brzmią dzwony na wsze świata strony, ogłaszając Narodziny Zbawiciela. Wnętrze świątyni nie może pomieścić wiernych, którzy przybyli na Pasterkę, przeto aż przed drzwiami kościelnemi stoją.

Dzwony umilkły, zaczyna się nabożeństwo. Z piersi ludu rozlega się pieśń kolendowa, pełna majestatu, radości i powagi zarazem:

„Bóg się rodzi — moc truchleje ..."

Orkiestra gra, lud śpiewa, aż w jednej chwili kościół zalega cisza, a od ołtarza potężny hymn: „Chwała na wysokości Panu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli" uderza falą o sklepienia domu Bożego.

— — — — — — — — —

Błogosławione byłyby wszystkie kraje, szczęśliwe wszystkie narody, gdyby na świecie istniał powszechny pokój, zwiastowany przez aniołów w nocy Narodzenia Pańskiego. Przyjście na świat Zbawiciela było bowiem zapowiedzią powszechnego szczęścia, powszechnej miłości i powszechnego dla wszystkich Królestwa Bożego. **Ale nie wszyscy ludzie są dobrej woli,** przeto na świecie niema pokoju ani powszechnej szczęśliwości. W krajach chrześcijańskich szatan bolszewizmu łowi masy na swój zatruty hak wędkowy, a ponieważ niema jeszcze na świecie sprawiedliwości społecznej, przeto wielu, zwłaszcza ludzie ciężkiej pracy idą za głosem wyzutego ze czci i wiary agitatora bolszewickiego, jak w baśni szczury za brzmieniem zaczarowanego fletu. Wszystkie państwa robią wyścigi w uzbrojeniu. Ziemia kurzy się od krwi ludzkiej. Na Wschodzie padają trupy, i końca japońskich wypraw wojennych do Chin nie widać. W ojczyźnie Zbawiciela świata, Palestynie znowu krwawe bunty wybuchają. Anglia wysyła wojska do Indyj, żeby tamtejsi „buntownicy" nareszcie siedzieli cicho. Francja śle eskadry lotnicze do swych kolonji, żeby rokosze krajowców tłumić. W chrześcijańskiej Hiszpanii, niegdyś ojczyźnie sławnych rycerzy, wielkich poetów i mistrzów penzla, — księża, zakonnicy, kobiety i dzieci już blisko dwa lata znoszą srogie katusze między dwiema frontami. Tam hiszpan zabija hiszpana, syn ojca, brat brata. Słowem, na całym świecie wzburzenie jest wielkie, przemoc kłoni ku ziemi słabych i biednych. Więc też niejeden nawet z tych, którzy za Gwiazdą betleemską — choć dziś niewidzialną a jednak istniejącą — idą, bo w życiu doczesnem jest im drogowskazem, często zapada w rozpaczliwą apatję, a są i tacy, co w rozgoryczeniu mówią: Oby w ziemię uderzył grom i wszystko obrócił w popiół!....

— — — — — — — — —

W kraju naszym ludzi też nękają różne bóle. Bezrobocie całkiem nie znikło, źle powodzi się małym rolnikom, zwłaszcza dlatego, że w niektórych okolicach tegoroczne żniwa nie były najlepsze. Prócz różnorakich bolączek, które trapią polski lud, ogół dotkliwie odczuwa plagę swarów partyjnych, które utrudniają stworzenie wielkiego obozu zjednoczenia narodowego. Bo obóz taki koniecznie jest potrzebny dla poprawy życia gospodarczego, rozwoju społecznego, dla chwały narodu, słowem, dla jego dobra. Oby z tegoroczną Gwiazdą betleemską wzeszła dla narodu naszego gwiazda braterskiej miłości, wiary, poświęcenia i odrodzenia narodowego. Bo gdy ona wzejdzie, to blask jej rozweseli nasze oczy, zasmucone teraźniejszym obrazem nędzy polskiego włościanina i robotnika, obrazem swarów i walk partyjnych. Z nastaniem zgodnego spółdziałania całego ogółu, wyprostują się drogi nasze, i wtedy też raźniej nam przyjdzie usuwać przeciwności, tamujące rozwój sił speleczeństwa w dziedzinie życia narodowego, postęp w sprawach gospodarczych i rozrost potęgi państwowej.

—oOo—

Wszystkim Czytelnikom, Współpracownikom, Przyjaciołom „Placówki“ i członkom Związku Peowiaków Śląskich życzymy „Wesołych Świąt“ i przesyłamy serdeczne życzenia na Nowy 1938 Rok.

Józef Grzegorzek.

Jan Jakub Kowalczyk.

Dźwignia Polski wzwyż.

Było to pod koniec 18-tego i na początku 19-tego wieku. Z mgieł lekceważenia i z mroków zaniedbania zaczął wyłaniać się wtedy na widownię Górny Śląsk. Król pruski Fryderyk II, odebrawszy go Austrii, dowiedział się coś niecoś o jego skarbach na powierzchni i w jego wnętrzu. Zabrał się do ich eksploatowania. Śladami jego poszli jego następcy na tronie pruskim, darząc daleko idącymi przywilejami każdego niemieckiego właściciela ziemskiego, który ujawniał jakąkolwiek chęć eksploatowania tych różnolitych bogactw. Największym skarbem ziemi górnośląskiej był przy tym tubylczy lud polski. I on był przedmiotem bezwzględnego wyzysku. Prawem kaduka właściciele ziemscy zabrali mu większą część posiadanej ziemi, przydzielili ją do własności dworskiej, a lud sam, prawnie przykuty do gleby, gnali do pracy na roli, w lesie i w zakładach przemysłowych. Tak powstał słynny przemysł górnośląski. Ma on tedy za podstawę przedsiębiorczość i chciwość niemiecką, ciężki trud i znój ludu polskiego, jego krew i pot, słowem krzyczący o pomstę do nieba wyzysk.

Krzywda ta została już częściowo naprawiona, bo dzięki własnej pracy, własnemu wysiłkowi, własnej dzielności znaczna część Górnego Śląska wyzwoliła się politycznie i przyłączoną została do Rzeczypospolitej Polskiej. Lud śląski przyniósł Polsce niejako w formie wiana wraz z sobą skarby ziemi górnośląskiej. A skarby te stanowią dziś jeden z głównych filarów mocarstwowości naszego Państwa.

Polska, otrzymawszy w darze ten filar mocarny, nie spoczęła na laurach, lecz poszła — teraz już dzięki własnemu wysiłkowi, naprzód. Rzekła do piasków nadbrzeżnych, by się stały nowomodnym portem i port stał się. Powstała Gdynia, a powstała dzięki planowości w działaniu najlepszych synów Polski przy umiejętnym zużyciu funduszów narodu. Gdynia liniami kolejowymi, także planowo obmyślonymi i zbudowanymi, połączona z Górnym Śląskiem, z Poznańskiem, z Warszawą i z Małopolską, stała się dla całej Polski oknem i szerokimi wrotami na cały świat. Przez to okno patrzy Rzeczpospolita na wszystkie strony globu ziemskiego, a przez szeroko rozwarte wrota gdyńskie zawijają i wypływają statki przeróżnych narodów, by przywozić do Polski ich produkty i na odwrót wywozić z niej ziemiopłody i wytwory jej przemysłu. Dzięki Gdyni handel Polski ożywił się niewspółmiernie, a Polska sama w tej samej mierze uniezależniła się pod względem handlowym i gospodarczym od sąsiadów. Nie można dosyć podkreślać doniosłości tego znamiennego faktu. Każdy, nawet najbardziej zgryźliwy krytyk oceni znaczenie portu gdyńskiego, gdy przypomni sobie rok 1920, kiedy to robotnicy portowi w Gdańsku nie chcieli dla nas wy-

ładowywać przesyłek wojennych z Francji, a Czesi nie chcieli na swych kolejach przesyłać tranzytem do Polski wysłanego z Francji materiału wojennego.

Stworzenie Gdyni więc to ogromne dźwignięcie Polski wzwyż.

A dalej! Założenie zakładów w Warszawie, w Radomiu i okolicy, albo powołanie do życia Mościc! To również czyny doskonale obmyślone i umiejętnie w życie wprowadzone. Kto choć tylko przez radio słyszał w dniu ostatniego święta narodowego przesuwające się w defiladzie ulicami Warszawy i innych miast Polski te różnorakie machiny pancerne, zmotoryzowane ciężkie działa i inne mechaniczne przyrządy albo furkot aeroplanów wojennych, płynących nad stolicą w ordynku bojowym, ten musi przyznać, że Polska dokonała od chwili odzyskania wolności olbrzymiego dzieła w dziedzinie swego uzbrojenia. Skąd się wzięło tyle pieniędzy na tak wielkie fabryki i zakłady, w których naród wytwarza sobie takie mnóstwo przeróżnych genialnie obmyślonych i tak precyzyjnie działających maszyn? Kto tego wszystkiego dokonał? Z wielkim ukontentowaniem musimy powiedzieć sobie, że w tym krótkim czasie naszej samodzielnej egzystencji podciągnęliśmy Polskę znakomicie wzwyż, o ile chodzi o przygotowanie obrony jej granic.

Ale jesteśmy jednym z najbiedniejszych narodów w Europie! — powiedzą małoduszni krytycy. Prawda! Ale czy nie pomiętacie, że przez prawie półtora wieku byliśmy w niewoli u trzech zaborców, że niszczyli nam każdy samodzielny odruch w kierunku wytwarzania dóbr materialnych i że z biedą mogliśmy kształcić się i rozwijać swe zdolności duchowe? A dalej! Czy nie wiecie, że przez niektóre części naszej Ojczyzny wichura wielkiej wojny światowej przeszła kilkakrotnie, równając z ziemią wsie i miasta i niszcząc dobytek całego kraju? Wszystko to trzeba było odbudować, inwentarz żywy i martwy odnowić a nikt nam nie dał na to grosza odszkodowania wojennego!

Marni krytycy, milczcie i podziwiajcie ogromne dzieło odbudowy a rozważywszy jego doniosłość na tym podłożu, zastanówcie się nad wielkością, ruchliwością, wszechstronnością pracy naszego narodu, której dokonał pod mądrym przewodnictwem światłych przywódców. Że nie każdego z pośród nas do pracy wciągnięto albo nie postawiono na stanowisku, do którego właśnie on miał szczególny pociąg, to jeszcze nie upoważnia nikogo do twierdzenia, że w Polsce niczego albo bardzo mało dokonano. Temu lub owemu stać się mogła naprawdę krzywda, tego lub owego uzdolnionego pominięto, a na czoło wysunięto nie najodpowiedniejszego osobnika, mogą to być istotne uchybienia lub pomyłki, ale mimo wszystko stwierdzić musimy, że na ogół zrobiliśmy w Polsce wielki krok naprzód i podnieśliśmy ją ogromnie wzwyż w porównaniu z tym, co było przy jej „wybuchu".

A teraz spójrzmy w najbliższą przyszłość!

Co na przełomie 18-tego i 19-tego wieku działo się na Górnym Śląsku, prawie to samo powtarza się obecnie w naszej Polsce w tak zw. Centralnym Okręgu Przemysłowym, dla krótkości C. O. P. zwanym. Główna jego część znajduje się w tak zw. widłach Wisły i Sanu, atoli wychodzi on już teraz poza ten obręb i rozszerza się na południe i północ, rozciągając się na dziesiątki kilometrów wzdłuż i wszerz. Kraj to przez wszystkich zapomniany i zaniedbany, szczególnie, gdy chodzi o tamtejszą ludność wiejską. W wielu miejscach — jak pisze p. Melchior Wańkowicz w numerze 44 tygodnika „Naród i Państwo" — karłowate gospodarstwa poniżej 2 ha stanowią 60% wszystkich gospodarstw. Zaledwie 5% gruntów ornych jest niewyzyskanych, ale mimo tak skrzętnej uprawy ziemi prawie pół miliona ludzi jest w tym okręgu niepotrzebnych, bo nie mają z czego żyć. Przed wojną światową szli oni masami do Ameryki lub „na Saksy". Dziś przymierają z głodu.

W te strony lesiste Rząd obecny postanowił przenieść pewną część wytwórczości krajowej, bo rozporządzają skarbami, których dotąd nikt nie widział lub nie umiał wyzyskać.

Zarząd nabytej niedawno przez Rząd naszej śląskiej Wspólnoty Interesów przy pomocy miejscowej ludności, — co nawiasem mówiąc, należy także do rzędu znakomitego dźwignięcia Polski wzwyż, — odkrył w tamtejszych stronach bogate złoża rudy żelaznej, sięgające podobno do 800 metrów głębokości ziemi i według dotychczasowych szacunków zawierające 5.000.000 ton wysokoprocentowego kruszcu.

W niedalekim sąsiedztwie znajdują się potężne zapasy gazu ziemnego, który, ujarzmiony w rury żelazne, może być daleko i szeroko rozprowadzony jako gaz świetlny i siła napędowa, dzięki czemu może oddać nieocenione usługi przy rozwoju wszelakiego rodzaju większych i mniejszych zakładów przemysłowych.

Zapora wodna w Rożnowie, dzięki której powstanie duże jezioro 20 kilometrów długości i od pół do jednego kilometra szerokości, przy nakładzie z górą stu milionów złotych, gromadzić będzie wodę Sanu i zapobiegnie niszczącym wylewom tej rzeki a równocześnie umożliwi spławność Wisły w czasie posuch letnich. W dodatku spadająca po tamie masa wodna wytworzy prąd, który dostarczy tyle taniej siły elektrycznej, że będzie mogła z niej korzystać nawet daleka Warszawa, nie wspominając o miastach i osiedlach bliżej Rożnowa położonych.

W tych to przez Stwórcę błogosławionych, przez przyrodę wysoko wyposażonych a przez rządy zaborcze zaniedbanych stronach Rząd polski, a za nim przedsiębiorcy prywatni, zabrali się do stawiania

olbrzymich fabryk i przetwórni produktów miejscowych, a więc między innymi hut żelaza i stali, fabryki obrabiarek, fabryki sztucznego kauczuku, celulozy i sztucznego jedwabiu, wytwórni szynek i bekonów i Bóg wie, jakie tam jeszcze powstaną i powstać mogą przedsiębiorstwa. Przestrzeń jest duża, miejsca na zakładanie fabryk pod dostatkiem a w pobliżu ich już się zakładają względnie powstaną w niedalekiej przyszłości duże osiedla robotnicze i pracowników umysłowych, urządzone według nowoczesnych wymagań hygienicznych, zaopatrzone we wszelaki komfort, urządzenia sportowe, igrzyskowe i inne.

Wszystko to razem pochłonie setki milionów i miliardy złotych, ale rozłożone na szereg lat nie da się zbytnio we znaki podatnikom. Razem zaś znajdzie tam zatrudnienie dziesiątki tysięcy ludzi, pomimo, że wielką rolę odgrywać będzie przy produkcji obok siły ludzkiej w wysokim zastosowaniu siła mechaniczna, wytwarzana i pędzona elektryką, gazem i parą, bo i nasz węgiel górnośląski znajdzie tam swe zastosowanie i wydajne zużycie.

Niech więc kto odważy się podnieść zarzut, że Polska nie dźwiga się wzwyż! Dźwiga się i dźwigać się będzie, choć nie jest, jak Włochy lub Niemcy, państwem totalnym. Dźwigać się będziemy „we własnym zakresie", odpowiednio do naszego usposobienia i charakteru. Ale nie będzie to Polska szlachecka i według jej wzoru rządzona, lecz będzie to musiała być Polska demokratyczna, uwzględniająca dobro i powodzenie wszystkich, a między tymi w pierwszym rzędzie szczerze polskie sfery pracownicze miast, osiedli fabrycznych i wsi.

Idzie tedy Polska wzwyż, tylko pochodu jej nie należy mierzyć porównywaniem z innymi narodami, od wieków wolnymi i żadnymi przeszkodami obcych najeźdźców i zaborców nie krępowanymi. Takie przykładanie miary do naszych wysiłków musiałoby nas sprowadzić na bezdroża. My możemy nasze zdobycze mierzyć tylko tym, cośmy mieli przy odzyskaniu wolności politycznej, a tym, do czegośmy doszli i czego dopięliśmy w ostatnich 19 latach, — w okresie naszej wolności. A zdobycze te naprawdę przynoszą nam chlubę. Idźmy tylko dalej tą drogą, a przyjdzie czas, że staniemy na tej samej co inni wyżynie. Polskę — powiedzmy to sobie z dumą — dźwignęliśmy bajecznie wzwyż.

Jerzy Jastrzębiec-Zakrzewski.

O przełom narodowy — „Na patrol!"

W chwili obecnej niema w Polsce większej rzeczy od idei prawdziwego zjednoczenia się Narodu...

Grupa legjonowa, która po śmierci Marszałka Piłsudskiego sprawuje rządy w Polsce, doszła do jedynie słusznego wniosku, iż w normalny sposób nie utrzyma się przy władzy, jeśli nie zdobędzie sobie zaufania wśród szerokich rzesz narodowych. A dlaczegóż nie można — przy obecnej Konstytucji, rządzić po dyktatorsku — zapyta nie jeden?... bo rządy dyktatorskie, **nie oparte na zaufaniu Narodu,** to najczystszy „totalizm" w oparciu o policję i bagnety, — a takich rządów nikt chyba sobie u nas nie życzy?...

Naród znosił rządy B. B. W. R. ze względu na osobę Marszałka Piłsudskiego i to nawet mimo bardzo silnej opozycji. Były takie chwile, że Polacy zęby zaciskali, ale ostatecznie każdy starał się trzymać swoje uczucia na wodzy, **aby nie robić zmartwienia Dziadkowi.** To też wprost genjalnym okazało się zarządzenie rozwiązujące B. B. W. R. płk. Sławka, gdyż dzięki temu Polska zyskała spokój w okresie najbardziej krytycznym — po śmierci Marszałka.

Wiemy dzisiaj, kto nakazał likwidację B. B. W. R. — wiemy dobrze, bo widzimy, jak na dłoni, na kogo się boczą i dąsają **wielmoże** B. B. W. R., jak zakładają coraz to jakieś kluby i rzekome „porozumienia", jak udzielają wywiadów w Krakowie, czy Warszawie, — bo od czasu, gdy zostali wycofani z obiegu, wszystko przestało im się w Polsce podobać.

Rozwiązanie B. B. W. R. z miejsca zmieniło atmosferę polityczną w kraju i rozładowało namiętności opozycyjne. Jak więc głęboką znajomość nastrojów w społeczeństwie miał obecny Marszałek Śmigły-Rydz, który we właściwym momencie sam obalił i rozwalił obóz polityczny, nie osłaniany już żadnym autorytetem, przeciw któremu już się mobilizował prawdziwy gniew ludu! Sam widok tych wszystkich wczorajszych „wielkości" — strąconych nagle z piedestałów, stanowił i to w dużej mierze satysfakcję dla wielu uczciwych i prawdziwych patryjotów.

Powstała atmosfera wyczekiwania, co będzie dalej... Jednak tej atmosfery wyczekiwania nie można było zbyt długo przeciągać, trzeba było dać do zrozumienia, kto i czego może się spodziewać. Zadanie to otrzymał gen. Sławój-Składkowski, który natychmiast — po objęciu władzy — wyraźnie powiedział, z czyjego mandatu i rozkazu staje na czele Rządu.

Premjer Składkowski rządy swoje rozpoczął od słów — **„bojkot ekonomiczny i owszem",** a słowa te przejdą wraz z jego nazwiskiem do historii Polski, jako nagłówek zupełnie nowego okresu w życiu Polski Niepodległej, tym więcej, iż słowa gen. Składkow-

skiego zelektryzowały i poderwały cały Naród Polski, bo „bojkot ekonomiczny i owszem" jest równoznaczny z oświadczeniem — **„Państwo narodowe — i owszem".**

Program zawarty w tym oświadczeniu nie uległ nawet najmniejszemu załamaniu, — szerzenie ideologji państwa narodowego nie natrafia na żadne przeszkody, o ile odbywa się to w sposób nie zagrażający porządkowi publicznemu.

Dopuszczalne jest więc wyciąganie najdalej idących wniosków z powiedzenia premjera Składkowskiego — „bojkot ekonomiczny i owszem", jak i wprowadzanie ich w czyn tam, gdzie Społeczeństwo nasze uważa to za wskazane i możliwe do wykonania.

Rząd premjera Składkowskiego i wicepremjera Kwiatkowskiego przygotowuje zatym Polskę świadomie i planowo do reżimu narodowego; — oto cały sens i cała treść misji gen. Składkowskiego, jego wyjścia „na patrol"... „Patrol", idąc daleko na przedzie, baczy pilnie, aby nic i nikt nie przeszkodził w planowym rozwijaniu szyków narodowych w Polsce!...

„A może to tylko zręczny i sprytny manewr, aby uśpić czujność szerokich rzesz narodowych, a potem wyprowadzić ich w pole?" — zapyta niejeden.

Ale takie posądzenie nie świadczy pochlebnie o tych, co je wypowiadają, ani o ich rozumie politycznym.

Przecież dopiero pod rządami gen. Składkowskiego **ruch narodowy osiągnął takie napięcie, jakiego nigdy jeszcze w Polsce nie było.** Łuski spadają Polakom z oczu i coraz to nowe zastępy odrzucają ze wstrętem okulary z fałszywymi szkłami, fabrykowanymi pod kontrolą lewicowo-liberalną. Coraz to więcej Polaków uświadamia sobie, iż te wszystkie rzekome „szczytne" hasła międzynarodowe i ogólnoludzkie — to najordynarniejszy fałsz. Coprawda jeszcze nie wszyscy odrzucili te fałszywe okulary, jeszcze wielu jest takich, dla których polskość mniej znaczy, niż jakieś sztuczne międzynarodowe doktryny — o solidarności zawodowej lub klasowej, niż jakieś mgliste hasła międzynarodowe, niewiadomo przez kogo i na czyj użytek sfabrykowane i rozpowszechniane, ale na szczęście takich jest coraz mniej!

Rozcinając pęta i kajdany, jakimi był krępowany ruch narodowy za rządów B. B. W. R., — rząd premjera Składkowskiego rozjuszył na siebie całą masonerję, wszelkiego rodzaju marksistów, jak i całą t. zw. „demokrację" łącznie ze sławetną IV brygadą (pomajową), doprowadzając równocześnie do rozłamów, fermentów i tarć w obozie legjonowo-peowiackim.

To też chyba każdy zgodzi się z tym, iż te „spustoszenia" w dotychczasowym stanie rzeczy — są nie do naprawienia, przytym kto zna miszmasz liberalno-masoński i komunę, ten chyba wie, iż nie przebaczają one nigdy nawet nieznacznych przewinień w stosunku do swoich planów i dążeń, a tymbardziej wtedy, gdy rezultatem tego rodzaju poczynań jest **spotężnienie ruchu narodowego** w Polsce. Zresztą, gdyby premjer Składkowski miał inne zamiary — nie wzmacniałby chyba sił swego „nieprzyjaciela".

Przeciwna strona, dążąca do zbudowania w Polsce „folksfrontu" — okazuje się, iż lepiej orjentuje się w charakterze misji gen. Składkowskiego i jego pójścia „na patrol"..., niż ruch narodowy, któremu brak jest zdolnych strategików. Wiedzą oni dobrze, iż z chwilą, gdy ruch narodowy nabierze zaufania do polityki, jaką reprezentuje „patrol" gen. Składkowskiego — atak ich straci wszelkie szanse powodzenia.

To też szerzą po kraju najróżniejsze plotki i ploteczki, aby tylko **za wszelką cenę podsycić nieufność w obozie narodowym do poczynań premjera Składkowskiego, jak i tych czynników, którym ten jego „patrol" podlega.** Ale, przecież, **trzeba się choć trochę orjentować w obecnej sytuacji... Polska świadomie została skierowana na drogę, która zaprowadzi ją bez wstrząsów i niebezpiecznych wybuchów do państwa narodowego.**

Droga ta może być krótszą lub dłuższą — zależy to od tego, jak szybko będzie postępował proces uświadomienia Społeczeństwa naszego; odwrotu nie będzie! gdyż wola, która Polskę na tę drogę pchnęła, jest — konsekwentną...

Trzeba zatym **dokonać przełomu narodowego,** natchnąć duszę Polaków ideałami nacjonalistycznymi, obudzić świadomość o wielkości naszej Ojczyzny, o godności człowieka i jego rodziny.

Sprawa jest jasna, — wyraźnie wyłania się zarys nowej polskiej racji stanu **w zakresie polityki wewnętrznej** i niema tutaj żadnych zdrad, ani zendeczeń... **Idą nowe elementy rzeczywistości — nowe formy bytowania Narodu,** i na to niema rady. To też, gdybyśmy sobie częściej uprzytomniali istotę tego procesu, byłoby znacznie ciszej i pogodniej w naszym kraju, mniej jadu i nienawiści.

Idą czasy ciężkiej walki, walki o kawałek chleba! **Tylko wspólne siły i realizowanie zasady solidarności narodowej — zdolne jest zmienić istniejący stan rzeczy.** Jeszcze zbyt dużo ludzi znalazło taki, czy inny kawałek chleba, idąc luzem. Nie mniej jednak, trudności, na które napotyka jednostka — uświadamiają coraz bardziej szerokie masy o konieczności **solidarności narodowej.**

Dzisiaj już dokładnie wiadomo, kto jest za marksystowskim „folksfrontem", a kto za ustrojem narodowym i autorytatywnym Państwa, jego umocnieniem i zabezpieczeniem — przez stworzenie odpowiedniej organizacji politycznej naszego Narodu.

Legjoniści płk. Koca nie potrzebują się bać bierności Społeczeństwa; niech tylko na stanowiskach

publicznych znajdą się pierwsi ludzie nowi, ożywieni ideałami narodowymi — to dalej pójdzie już znacznie łatwiej, niż nawet przypuszczamy...

Bez gruntownej i bezwzględnej czystki — nie obejdzie się!... W zakończeniu warto tutaj przytoczyć słowa Józefa Piłsudskiego — „Polskę, być może, czekają ciężkie przeżycia. **Podczas kryzysów — strzeżcie się agentur.** Idźcie swoją drogą, służąc jedynie Polsce, milując tylko Polskę **i nienawidząc tych, co służą obcym**".

Polska broń sieczna

Starożytnym orężem polskim był prosty, obosieczny miecz. Kształt szabli krzywej, jednosiecznej, przybył do Polski ze Wschodu od Południa wraz z jej nazwą, która po arabsku brzmi „saif". Szabla krzywa oprócz mocniejszego cięcia, daje lepszą zasłonę głowy niż prosty miecz i szpada. Prawdopodobnie już w XIII wieku najazdy tatarskie zapoznały Polaków z krzywą szablą azjatycką.

Szabla należała do t. zw. broni białej czyli siecznej, przy jej pomocy ojcowie nasi odnosili często zwycięstwa, stała się przeto ukochaną bronią narodu, którą rycerz polski oddawał w boju jeno razem z życiem. Stosunek, jaki zachodził pomiędzy Polakiem a jego szablą, nie powtarza się u innych narodów. Szermierka polska była także odmienna. Miała swoją sztukę krzyżową, cięcia rejowskie, referendarskie i t. d. Gdy weszła w modę broń droga, Polacy używali zwykle dwojakiej szabli: do stroju — karabeli ozdobnie oprawnej, do boju zaś i pojedynków — szabli czarnej. Były rozmaite odmiany szabel: augustówki, zygmuntówki, batorówki, bułaty, czeczugi, serpentyny, karabele, demeszki. Szablę wielką, używaną do boju i noszoną przez ludzi wojennych, nazywano szablą czarną lub pałaszem; fabrykę szabel zwano szabelnią; rzemieślnika, który je wyrabiał — płatnerzem lub miecznikiem. Najsłynniejszymi szablami były: staszówki, wyrabiane w Staszowie sandomierskim; augustówki, zygmuntówki lub batorówki, od cyfr lub portretów Batorego, Zygmunta III lub Sasów; wreszcie lwowskie i wyszyńskie.

Oprawiano szable w pochwy wężowe lub skórzane. Żelazo szabli zwali Polacy głownią, brzeszczotem lub klingą, a rękojeść jelcem. U szabli polskiej, jelec zwykle krzyżowy, do 6 cali długi, nieco kabłąkowy. Jelce u szabli czarnej były z pałąkiem graniastym i małym skobelkiem; pałąk nazywał się krzyżem a skobel paluchem od wielkiego palca, który w niego wsuwano. Skówki na pochwie, do których były przymocowane kółka do zawieszania broni na pendencie czyli rapciach, zwały się ryfkami.

Szable z szerokiemi pochwami i wielkiemi krzyżami nosili najwięcej ludzie dworscy. Szlachta, jako stan rycerski, nosiła szablę z obowiązku. Mieszczanie krakowscy mieli do tego prawo wyjątkowe, jak również magistraty: warszawski, wileński, poznański i lwowski, wedle służących im przywilejów.

Wybitny pisarz XVII w., ks. Franciszek Jezierski, tak pisze o szabli: „Szabla, pałasz, kord, koncerz, miecz, karabela, wszystko to znaczy żelazo w ręku do zabijania i kaleczenia człowieka. Sztukę wzajemnego nacierania na życie z taką bronią nazywają zdawna Polacy sztuką szermierczą, a nasi sąsiedzi fechtowaniem. Jak wesołość ma swoje powierzchne znaki, które są charakterami narodów w ich tańcu, tak i poruszenie złości ma swój charakter w porwaniu się do żelaza. Węgrzyn tnie na odlew, Moskwicin z góry, Turczyn ku sobie, a Polak na krzyż macha swoją szablą. Szabla polska była przed laty straszna narodom, dopóki miękość wieku, zbytki krajowe nie poprzeinaczały junaków z mocnych i śmiałych na grzecznych i zabawnych, a przeto gdy przesąd, chełpliwość, zemsta wyzywa na pojedynkowe spotkanie, wolą na pistolety się puścić, niż na zręczność władania szablą".

Klingi szabel wyrabiano z najlepszej stali lub dziwiru, t. j. z żelaznych drutów rozpalonych w ogniu i zbijanych na kowadle. Ten ostatni sposób wyrobu kwitnął szczególniej w Damaszku na Wschodzie, a szable stamtąd pochodzące, zwykle okryte napisami z Koranu, znane pod nazwą damascenek, były w Polsce wysoko cenione. Każdy szlachcic polski, jako z prawa i obowiązku do stanu rycerskiego należący, bez różnicy, czy służył wojskowo, czy był senatorem, palestrantem, rolnikiem i t. d., na znak swej gotowości do obrony kraju, miewał szable nad łożem na ścianie zawieszone i do stroju uroczystego używał zawsze szabli. Po dworach też szlacheckich była wszędzie obfitość tej broni, którą wyniszczyły dopiero wojny z okresu od r. 1794 do 1831. Gdy naprz. w r. 1831 korpusy wojska polskiego, wchodzące do Prus i Austrji, składały broń, dostało się wówczas w posiadanie wojskowych władz pruskich i autstrjackich kilka tysięcy pamiątkowych szabel i karabel, złożonych przez oficerów i ochotników polskich.

Szabla wojskowa w nowej Polsce wygląda jak szabla wojskowa w ostatnim czasie starej Rzeczypospolitej Polskiej.

Nie unoś się! — Tylko wewnętrzny spokój tworzy siłę!

Amalia-Irena Hanzlówna.

GDY ŚWIĘTA IDZIE NOC...

Rozkołysały się dzwony z wszystkich wież
czy z strzał gotyckich co gwiazdy płoszą
czy z kościółków drewnianych spowitych w pleśń
radosną wieść nam głoszą.
Świat się przed nami rozpłynął jak fale
i płynie uśmiech radości wszerz i wzdłuż —
...Na stepach dalekich pokładły się żale
i zda się, że nie wrócą już.
I życie szepce bezustanną modlitwę —
szczęściem spogląda nam z oczu bez słów —
jakby wygrało dziś wielką bitwę,
— — — choć jutro.... trzeba ruszyć do walki znów.
W krąg chat i pól kolęda cicha płynie
i sennie dzwoni wśród iskrzących drzew
...Tyle jest szczęścia w tej jednej godzinie
nie wierzę dziś — że chwile są co głoszą krew.
Dziękczynne „Gloria" brzmią od ołtarzy —
i srebrzą się cicho na świerkach łzy
— — Księżyc zajrzał przez kolorowe witraże
gdzie ludów spełniały się sny.

Drugich ludzi szczęście

Gdy inni ludzie mają szczęście, to powinniśmy się razem z niemi cieszyć. Na przykład: gdy kuzyn wielki los wygra, a koledze młoda i urodna żona wielki posag do domu wniesie. Gdy sąsiad dużo zarabia, wuj sobie wspaniały dom postawi, przyjaciel drogie auto sobie kupi, a majster bednarski Klepka na wystawie rzemieślniczej prócz pochwały medal złoty zyska — zawsze powinniśmy się z tego cieszyć, drugim pomyślności i szczęścia nie zazdrościć.

Ale ach, współradość jest rośliną, co kwaśno smakuje i tylko rzadko w piękny kwiat się rozwija. Zawsze też w skrytym kącie serca jest nasze pytanie: „Czemu mnie to szczęście nie spotkało? Ja przecież niemniej na to zasługuję!" Współczucie jest o wiele łatwiejsze, tu jesteśmy zawsze bardzo wielkimi, tu zawsze rozpływamy się w głęboko odczutych słowach pociechy. Gdy jednak do kieszeni sięgnąć byłoby naszym obowiązkiem, już jesteśmy wstrzemięźliwi, ale jeśli nic nie kosztuje, wtedy współczucie pełną garścią rozsiewamy.

Istotnie, potrzeba prawie nadludzkiej wielkości charakteru, żeby biedny, jak mysz kościelna, krewny był niezawistny, gdy kuzyn bez zasługi został szczęściem obsypany. A rodzina, która w 7 osób tłoczyć się musi w jednej izbie, oczywiście nie z radosnem uczuciem rozgląda się po obszernych pokojach, przez które wuj ją prowadzi po wybudowaniu swej nowej, wspaniałej kamienicy. Członkowie tej rodziny coprawda nie pragną równie pięknego domostwa, ale gdyby tak mogli pozwolić sobie przynajmniej na 2 pokoje i kuchnię, byliby bardzo zadowoleni. A przyjaciółki urodnej dziewczyny, co wyszła za tak przystojnego i majętnego młodziana, oczywiście by się nie pogniewały, gdyby pewnego dnia takież szczęście ich spotkało. Narazie mają tylko ten widok, że jeszcze lat kilka pracować będą musiały w kantorze, sklepie, albo co jeszcze gorsze mozolić się jako służące, — — i że przy takich widokach radość na szczęście drugich nie jest 100-procentowa, to nikogo dziwić nie potrzebuje. Bo już tak jest na tym świecie, że każdy człowiek najpierw dla siebie pragnie szczęścia, przyczem często nie zdaje sobie sprawy z tego, iż w gruncie rzeczy już je posiada.

Człek zdrowy, jak krzemień, zwykle nie wie, jak wielkim skarbem jest czerstwe zdrowie i często nawet dziwi się, że inni skarbu tego mu zazdroszczą. Chętnie wziąłby na przydawek kilka kamieni żółciowych, gdyby tylko za to wspaniałe auto posiadł. Ma je atoli — te kamienie żółciowe — toby auto chętnie oddał za doskonałe zdrowie.

Czy cieszymy się naprawdę z innymi rodzicami, którzy mają piękne, zdrowe dzieci, podczas gdy nasze własne są słabowite i niepoczesne? Trudno przypuścić! A cieszą się ci drudzy, gdy nasze własne o wiele są zdolniejsze, pilniejsze i ambitniejsze niż ich urodne i zdrowe, które są leniuchami i bez talentów? Tak samo trudno przypuścić. — Najcięższą jest współradość na rezultaty innych ludzi. Rzadko też przyznawamy, iż więcej od nas potrafią zrobić, że duch ich żywszy jest od naszego, wytrwalszą ich pilność, większe ich utalentowanie. Robiąc kwaśną minę, nazywamy to ślepem szczęściem, gdy daleko przed nami do zamierzonego celu dotrą. Gorszymy się, że my sami tak wysokiego szczebla nie dostąpili. Nie można się dziwić, że ludzi gorszy niezasłużone szczęście nicponia, gdy mu nagle wielka wygrana loterii się dostanie, ale ten, który przez własne zabiegi swe szczęście stworzył, ma prawo na współradość i uznanie innych ludzi. Im mniej dozna uznania, tem też lepiej zna uczucia, jakie drugiego poruszają. A

najczęściej są to najbliżsi przyjaciele i krewni, którzy w tej rzeczy zawodzą. Do współczucia z powodu nieszczęścia byliby zdolni, ale do współradości — to zbyt wielkie żądanie dla nich.

Tak jest ze szczęściem drugich ludzi! Nie ulega wątpliwości, iż nigdy nie jest ono tak wielkiem i niesfałszowanem, jak my je widzimy. W każdym domu jest kąt, gdzie siedzi troska, którą nie możemy dojrzeć, ponieważ domownicy ją przed nami ukrywają. My widzimy tylko gładko polerowaną zewnętrzną stronę, a nie tej rdzy, która za piękną fasadą się znajduje.

Co to wogóle jest szczęście? Rzadko jest tem, co sobie pod tem wybrażamy, często je mamy, nie wiedząc, że je posiadamy, często niweczymy je przez naszą niemożliwość, by je pochwycić, a nigdy nie wydaje się nam dość wielkiem dla nas samych: Dla siebie chcemy zawsze to, co najlepsze. Oczywiście, drugim też się ma dobrze powodzić, — lecz nam najpierw i najlepiej! — Na samolubstwie człowiek nic nie zyska! A dawno już stwierdzono: Kto uczciwie i bez zazdrości potrafi współradować się na szczęściu drugich, ten ma przy tem zawsze kruszynę własnego szczęścia.

Deklaracja I Ogólnopolsk. Zjazdu Peowiaków w Wilnie

dnia 21 listopada 1937 r.

Zjechaliśmy się z całej Polski w Wilnie, przy sercu Komendanta, sercu, które ukochało wielkość. Na poziom Wielkości pragnął On wznieść Naród i Państwo.

Zjechaliśmy się jako Jego żołnierze, by zlustrować nasze szeregi, by zamanifestować niewyczerpane siły nasze, nieostygły zapał dla wielkiej idei rozbudowy Polski, by w obliczu rzeczywistości przemówić do siebie prostym, dawnym peowiackim słowem, za którym, jak zawsze idzien czyn.

Powstaliśmy z krwawej walki o Niepodległość Narodu, która była i jest dla nas droższą, niż życie własne. Woleliśmy ginąć, walcząc jako ludzie wolni niż żyć jako niewolnicy.

Byliśmy ludźmi wolnymi z ducha już wtedy, gdy przemoc zaborców wszechwładnie panowała jeszcze na ziemiach Polskich. Nasza walka była w dziejach porozbiorowej Polski ostatnim zwycięskim etapem zmagań powstańczych.

To jest nasze „wczoraj" i nasza historyczna legitymacja do utrwalenia i obrony dziejowej zdobyczy.

Nasze „dziś" od chwili odzyskania niepodległości — to praca w Polsce — dla Polski.

Nasze cele i zadania na „jutro", wytknięte nam przez trwale żyjącego w sercach naszych Komendanta — to budowa Polski „równorzędnej z wielkimi potęgami świata...., tak aby ją postawić w sile i mocy, w potędze ducha i wielkiej kultury, aby się mogła ostać w tych wielkich, być może, przewrotach, które ludzkość czekają...."

Rzeczpospolita Polska posiada wszelkie warunki, by idąc za wskazaniami Józefa Piłsudskiego, budować swą wielkość i potęgę, które decydują w jej warunkach geopolitycznych o niezależności politycznej i gospodarczej; posiada Konstytucję — ostatnie dzieło Józefa Piłsudskiego — z ducha swego demokratyczną, a pozwalającą na zorganizowanie silnej, autorytatywnej władzy wykonawczej, pod zwierzchnictwem Prezydenta Rzeczypospolitej, wyposażonego w szerokie uprawnienia;

posiada potężną i karną armię, na czele z wypróbowanym w bojach i służbie Narodu Wodzem Naczelnym Marszałkiem Śmigłym-Rydzem;

posiada zdolny do poświęceń Naród, wyposażony w prawo i obowiązek najszerzej pojętego udziału w życiu Państwa i odpowiedzialności za jego losy.

Gdy z woli Marszałka Śmigłego-Rydza w dniu 22 lutego 1937 roku usłyszeliśmy wezwanie „DO TYCH W NARODZIE, KTÓRZY CHCĄ BYĆ ŚWIADOMYMI WSPÓŁTWÓRCAMI TERAŹNIEJSZOŚCI I PRZYSZŁOŚCI" — do apelu tego stanęliśmy jedni z pierwszych.

W szeregach P. O. W. znaleźli się ongiś wszyscy, niezależnie od środowisk i pochodzenia, niepomni na różnice klasowe, a zdecydowani jedynie walczyć o wolność Narodu i niepodległość kraju. Nasze siły główne stanowili ludzie ciężkiej codziennej pracy: inteligencja, ludność wsi, miast i miasteczek.

My peowiacy, żołnierze Niepodległości i Wolności, nie jesteśmy grupą malkontentów, nie tkwimy w bezczynności i rozpamiętywaniu przeszłości. Widzimy nowe obowiązki w stosunku do Państwa i mamy wolę je spełniać.

Tu, w „miłym mieście“ Komendanta, zrodzeni z Jego Wielkości, nie będziemy stawiać ani sobie ani Narodowi naszemu przed oczy rzeczy małych — zła przemijającego.

Mając otwarte oczy na zbrojenie świata, pragniemy opancerzać Naród polski, skupiając swe siły dokoła realizacji hasła obrony Państwa, w którym, jak powiedział Marszałek Śmigły-Rydz, „wszystko się znajdzie, znajdzie się droga wyjścia z naszych stosunków gospodarczych, znajdzie się droga, która nas doprowadzi do wyzwolenia sił moralnych i twórczych w Narodzie, do skupienia ich, do wytworzenia nowych wartości, których nam tak bardzo potrzeba.“

Na nas, jako na świadomych swych obowiązków obywateli, spada konieczność prowadzenia w życiu codziennym na każdym miejscu, przy każdym warsztacie pracy, bezwzględnej walki o osiągnięcie niezbędnego zwycięstwa, wysokiego poziomu moralnego i wysokich wartości gospodarczych.

W miejscu wiecznego spoczynku Serca Komendanta przyrzekamy, że rytmiką serc, mózgów i mięśni pod przewodnictwem Marszałka Śmigłego-Rydza będziemy tworzyć warunki, w których, gdy już przyjdzie zmierzyć się w walce, ktokolwiek nam ją narzuci, znowu, jak 17 lat temu, po naszej stronie musi być zwycięstwo!

Każdy obywatel w walce o zwycięstwo winien być świadom i pewien tego, że broni własnego stanu posiadania moralnego i materialnego. Współodpowiedzialny za losy Państwa obywatel zawsze i wszędzie jest gwarantem siły i spoistości swej Ojczyzny.

Siłę zjednoczonej woli Narodu opieramy na wspólnym zrozumieniu celów i wspólnym przeciwstawieniu się niebezpieczeństwom.

Przeciwni jesteśmy szukaniu wzorów obcych w budowie społecznej i politycznej Polski.

Uważamy za sprzeczne z psychiką polską totalizmy klasowe lub nacjonalistyczne.

Czynny udział w postępie i budowie potęgi Polski powinny brać szerokie masy Narodu w myśl zasad deklaracji lutowej, że „OD LOSÓW TYCH WARSTW I ICH DOBROBYTU, JAKO TEŻ KULTURY I POCZUCIA OBYWATELSKIEGO ZALEŻY W OGROMNYM STOPNIU HARMONIJNY ROZWÓJ POLSKI I JEJ PRZYSZŁOŚĆ“.

Dla realizacji wielkich zadań, jakie ma przed sobą Rzeczpospolita skupić się musi całe społeczeństwo, a przede wszystkim wypróbowana w walkach stara wiara legionowo-peowiacka.

W atmosferze wzajemnego zaufania i współpracy dokonamy rzeczy wielkich.

TU, W WILNIE, W MIEŚCIE JAGIELLONÓW, W MIEŚCIE JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO, MY, LUDZIE JEGO EPOKI PRZYRZEKAMY IŚĆ NIEZŁOMNIE KU WYTYCZONEJ PRZEZ NIEGO WIELKOŚCI RZECZYPOSPOLITEJ.

Aniela Wolna.

Zjazd Peowiaków w Wilnie

(21. XI. 1937 r.).

Tętnią miarowe kroki — takt im serce bije! — — —
Tam, gdzie w Wilnie na Rosę droga wzwyż się wije
Idą ze wszystkich krańców świętej naszej ziemi
Ci, którzy za tę ziemię szeregi zwartymi
W bój poszli za swym wodzem, pełni silnej wiary,
Że jego dłoń rozwije wolności sztandary. — — —
Idą, by sercu jego hołd należny złożyć
I przysięgę wierności w tym mieście powtórzyć,
Które tak bardzo kochał, gdzie myśl jego żyje,
I tysiąckrotnym echem w sercach ludu bije. — — —
Idą długim pochodem! — — Tam starzec pochyły,
Pragnął choć okiem rzucić na miejsce wybrane,
Gdzie spoczywa to serce, — serce uwielbiane,
To serce Komendanta, co nam Polskę dało! — —
Idą, a nad ich głowy czerwono i biało
Jak dumne, barwne kwiaty sztandary się wznoszą. —
— — — — — — — — —
O Matko Ostrobramska, spójrz, jak się unoszą
Ku Tobie tego ludu serca gorejące — —
Tej braci peowiackiej dusze kochające. — —
— — — — — — — — —
Błogosław nam to Wilno, naszą Polskę całą,
Która, jak w dawnych czasach znów jaśnieje chwałą.
My zaś nie zapomniemy Opolskiego Śląska,
Który trzyma w swych szponach zachłanność teutońska!
— — — — — — — — —
Że się wszelka odbije o pierś naszą zdrada
Tobie dziś ślubujemy, my, Pierwsza Brygada!

GRUDZIEŃ

Ach! jak długi wieczór w grudniu,
Gdy o czwartej popołudniu
Słońce, chowiąc swe promienie,
Dobrej nocy śle życzenie.
A dziad z wieży w dzwon uderza,
Nawołując do pacierza.
I cóż czynić mają w taki
Długi wieczór parobczaki?
Co dziewuchy?
Co pastuchy?
Otóż, niechaj parobczaki
W ostry puszczą ruch rzezaki,
I dla bydła natną sieczki!
A dziewuchy i dziewczki
Niechaj igłą w tej to dobie
Szyją ludziom, albo sobie.
Gospodynie i babule
Niechaj przędą na koszule,
A pastuchy i dzieciaki,
Niech obierają z łup ziemniaki,
Bo na trzecie kura pianie,
Trza je warzyć na śniadanie.
Gospodarze niech czytają,
Lub napamięć powiadają
Jakie dawniej były czasy, jakie dzieje,
Jacy króle — dobrodzieje!
Bo co wówczas działo się w świecie,
Teraz w książkach stoi przecie.
A gdy w domu ksiąg nie mają,
Niech czytelnie zakładają!
Wtenczas książek będą setki,
Będą mieli i gazetki.
Każdy niechaj rąk dokłada,
Jak do pracy tej wypada!
Aby wieczór ostatecznie
Spłynął mile, pożytecznie.
Potym, by się dobrze spało,
Niech pokrzepią jadłem ciało.
Wreszcie klękną przed obrazem
Do modlitwy wszyscy razem.
A spełniwszy ten uczynek,
Niech się kładą na spoczynek.

*

Tak przed mniejwięcej 50 laty, pewien przygodny poeta śląski opisał wieczór grudniowy w cichej wsi górnośląskiej. Wiele zmieniło się od tego czasu w kraju naszym, ale w rolniczych wioskach śląskich, daleko od miast i wielkich gmin przemysłowych, ludzie naogół żyją po staremu. Wejdź, bracie, do chaty śląskiego gospodarza w taki, naprzykład, wieczór grudniowy, a przekonasz się, że chłop na wsi dziś jeszcze inaczej żyć nie umie, jak jego poczciwi przodkowie.

Jak nas inni widzą?

Duże oczy zrobiłby niejeden człowiek, gdyby sam siebie widział tak, jak go inni widzą. A jakie oczy zrobibiliby ci drudzy, gdyby nas widzieli, jak my sami siebie widzimy. Niejeden zdrętwiałby z oburzenia nad wizerunkiem, jaki o nim ludzie rysują. Kobiety zawsze uważają siebie za większą piękność, niźli są, a mężczyźni uważający się za mędrszych niźli naprawdę są, — wszyscy daliby znaki oburzenia i zgrozy, i nikt nie poznałby siebie w opisie, jaki inni o nim robią.

Oto obywatel Bartek Sztuplik: Jest majętny. Od czasu do czasu daje swym ubogim krewnym naskutek ich prośb lichy zasiłek. Niechętnie złoży też czasem mały datek na rzecz komitetu dobroczynności. Sztuplik widzi swe dary w astronomicznym powiększeniu, uważa się za dobroczyńcę ludzkości, prawie dziwi się, że mu jeszcze skrzydła anielskie nie urosły. On jest mocno przekonany, że w niebie najlepsze miejsce dla niego rezerwują. Ale co mówią o nim ludzie? Otóż wszyscy jego krewni, sąsiedzi i znajomi uważają go za nienasyconego, brudnego łakomcę i mówią, że jego pełne wory do piekła go wciągną!

A obywatelka Tekla Cebulczyno: Jej młodość już dawno minęła, a wraz z nią ulotniła się smukłość. Urodą swoją już też nikogo nie potrafi sidlić. Ale Cebulczyno sama tego jeszcze nie zauważyła. Gdy patrzy w lustro, uważa iż jest tak urodna jak przed 20 laty. Więc ubiera się też jak 20-letnia krasna dziewoja. Gdyby jednak usłyszała chociaż jedną z szyderczych uwag, jakie ludzie o niej robią, to napewno nie chciałaby dłużej bawić między śmiertelnymi.

Obywatel Karlik Serwotka uważa siebie za doskonały charakter. Jest więc — według własnego zdania — człowiekiem sprawiedliwym, rzetelnym, towarzyskim, zawsze uprzejmy do wszystkich ludzi. Ale jak oceniają go sąsiedzi, zwłaszcza jego współpracownicy? Ci nazywają go liziłapą, podchlebcą i obłudnikiem, przed którym należy się strzedz jak przed zarazą!

Są też niewiasty domowe, które za cud dzielności gospodarczej się uważają. Drugie mężatki gosposie natomiast twierdzą o nich, że co tyczy porządku i rządności, to nawet funta kłaków nie są warte.

Tak, szeroko otworzyłyby się nam oczy, gdybyśmy słyszeli, co inni o nas mówią. Ale nicby to nam nie szkodziło, gdyby tak od czasu do czasu ktoś do ucha nam szepnął, co ludzie o nas myślą. Bo wtedy potrafilibyśmy wizerunek nasz dla ócz innych bardziej powabnie kształtować.

Jan Jakub Kowalczyk.

ORACZE

Powieść z czasów budzenia ludu śląskiego z letargu narodowego.

(Ciąg dalszy)

Młodych pielgrzymów gnało do Lubszy podświadome przeczucie, że trzeba im pracować w tym właśnie kierunku. Co będzie w przyszłości dalszej, o tym narazie nawet nie śmieli myśleć i marzyć. Z tego jednakże zdawali sobie doskonale sprawę, że nieszczęsny ten ludek trzeba najpierw uświadomić o jego prawach do lepszych warunków bytu materialnego i równocześnie podnieść go duchowo, nakarmić poczuciem odrębności narodowej i napoić z krynicy oświaty. Rozumieli to wielkie zadanie, lecz nie znali jeszcze metod i sposobów, jak się zabrać do dzieła. Z książek, z broszur i gazet wiedzieli, że żyje w Lubszy lublinieckiej i uprawia tę niwę już od blisko trzydziestu lat ich wielki rodak i pierwowzór, Józef Lompa. Do niego też wybrali się w daleką drogę, aby go poznać osobiście i według możności zaczerpnąć u niego wskazówek, jak należałoby rozpocząć wielką pracę nad odrodzeniem swych pogrążonych w głębokiej ciemnocie ziomków.

Rozdział II.

U mistrza.

Jul i Julek przybyli do Lubszy krótko popołudniu. Najchętniej byliby odrazu udali się do szkoły, lecz wzgląd na porę obiadową powstrzymał ich od tego. Wstąpili tedy wpierw do karczmy, zamówili jajecznicę na posiłek obiadowy i przy tej sposobności zaciągnęli informacji o panu rektorze.

Dawid Simenauer — karczmarzami w owe czasy byli wszędzie na Górnym Śląsku żydzi, — był obrotnym i ruchliwym człowiekiem. Był poinformowany o wszystkim i o wszystkich w swej wiosce i w całej okolicy, służył więc także naszym młodym przybyszom wszelkimi możliwymi wiadomościami.

Dowiedzieli się od niego, że „pon rechtór" i organista w jednej osobie „są doma", że często wyjeżdżają dla jakichś „sprawów", że ludzie naogół ich lubią, bo im zadarmo pisują podania do władz i urzędów, udzielają różnych porad, lecz że też mają we wsi „nieprzyjacieli" jawnych i ukrytych.

— Skąd taki dobry i uczynny człowiek może mieć nieprzyjaciół? — wtrącił Julek.

— Ja, wiedzą paniczek, to sze mo tak: Pan rechtór są szycmon*). Mają nasz pon rechtor wiela kłopoty z tymi sądownikami i rechtórka już jich tela razy prosili, żeby se dali pokuj temu sędżowaniu.

— Czemu pan Lompa nie słucha dobrej rady żony?

— A ktoby to we wsi móg wżącz tak ważny amt! Czy może pon farorz? Czy może jo, Dawid Simenauer? Pon farorz ni, bo są księdzem i sędżowacz ni mogą. Simenauer też ni, bo by se narobił taki łostudy, żeby mioł wielki harmider w karczmie i muszał zbankrutowacz. Muszą pon rechtor bycz szycmon, a żoden jinny, bo tu nima żodnych jinnych ludżów mądrych jak my trzy, to jest jo, pon farorz i rechtor. Tóż oni muszą amtowacz, bracz po piencz czeski za sprawę od tego, co przegroł, i bycz przeklinany od nigo.

— Czy pan rektor nie sypia po obiedzie, będąc już w poważnym wieku?

— Ji, kanby też mugli spacz? Przeca tam tela włosnych dżecków, że tam wieczny harmider. Ludże też nie pozwolają. Dycki jich tam pełno przed szkołom.

Simenauer byłby z największą chęcią jeszcze dalej opowiadał, bo trawiła go ciekawość i już obmyślał sposoby, jakby wydostać z przybyszów, skąd są, poco udają się do Lompy, i inne ciekawości, ale młodzieńcy, przewidując jego zamiary, prędko zapłacili za dwie porcje jajecznicy i podziękowawszy gościnnemu „za wszystko", udali się do szkoły.

Zastali tam siedzącego na ławce nieco przytyłego, siwiejącego mężczyznę, z „koźlą bródką" pod brodą, poza tym gładko wygolonego. Wygrzewał się na słońcu, trzymając w lewej ręce rogową tabakierkę, z której właśnie brał trzema głównymi palcami prawej ręki niucha.

Młodzieńcy, pozdrowiwszy Pana Boga, zapytali, czy zastają pana nauczyciela Lompę w domu?

— Siedzi przed wami, panowie! Czem mogę służyć?

— Jesteśmy z Zawadzkiego w powiecie strzeleckim!

— Aż z tak daleka panowie przychodzą?

— By zobaczyć i poznać tak wybitnego rodaka, żadna droga nie jest daleka! — odpowiedział Julek.

*) Szycmon, z niemieckiego Schiedsmann czyli rozjemca. Była to osoba wyznaczona przez władzę sądową do godzenia powaśnionych partyj przeważnie z powodu obrazy, obelgi lub obmowy. Jeśli mu się nie udało pogodzić partyj, wystawiał im odnośny dokument, poczem skłóceni mogli udać się ze skargą do sądu, który rozstrzygał sprawę definitywnie, skazując pozwanego albo na grzywnę albo na „hereszt", w niektórych okolicach „herest", to znaczy areszt, albo też uwalniając go od winy i kary. „Szycmonowi" wypadało często i gęsto samemu wydawać orzeczenia i ferować wyroki. Przy kłótliwości i zapalczywości powaśnionych, ten co przegrał, posądzał zwykle „szycmona" o stronniczość i cały swój gniew zwracał przeciko niemu, co zwykle trwało dopóty, dopóki dla jakiej sprawy nie musiał prosić „pana rechtora" o interwencję i pomoc.

— No, no! Bez tych kadzideł, paniczku, bo gotów jestem się pogniewać!

Broń, Panie Boże! Nie kadzę, ani nie chcę obrażać. Mówię według najświętszego przekonania, a z prawdą się nie rozminąłem i dla niej przyszliśmy do pana! Nazywam się Juliusz Ligoń, kowal z fabryki zawadzkiej, gorliwy czytelnik pańskich broszur, książek i artykułów w gazetach.

— A ja, — zabrał teraz głos Jul — nazywam się Juliusz Szaflik, były uczeń gimnazjum, w którym ukończyłem sześć klas, Chcemy pana poznać i nauczyć się dużo od pana, byśmy mogli w naszej miejscowości i okolicy postępować za pańskim przykładem.

Lompa podniósł się z powagą z ławki, przystąpił do młodzieńców i uścisnąwszy każdemu serdecznie dłoń, rzekł uradowany:

— To mi doskonały narybek! Witajcie, mili goście!

Odwróciwszy się zaś w stronę sieni, zawołał donośnym głosem:

— Weronko! We-ron-ko! Chodźże prędko! Coś bardzo ciekawego!

Gdy w sieni rozległy się chyże kroki, dodał:

— Mam niezwykle interesujących gości! Takich, jakem stary, nie mieliśmy jeszcze nigdy u siebie.

Stanęła niebawem w progu około trzydziestopięcioletnia kobieta, ubrana trochę z miejska, trochę z wiejska, o miłych regularnych rysach twarzy, równa pod względem wzrostu mężowi.

— Weronko, uściśnij dłoń dwom Juliuszom, panom Ligoniowi i Szaflikowi z Zawadzkiego w Strzeleckiem!

Podając kolejno przybyszom rękę, rzekła:

— Chyba nie pieszo przybyli panowie z tak daleka!

— Ale owszem! Maszerujemy od godziny drugiej w nocy, — objaśnił Szaflik. — Mój przyjaciel Julek jest dosyć mocno zmachany, czemu się nie dziwię, bo przebył niedawno zapalenie płuc i jako rekonwalescent jest narazie wolny od pracy i mógł sobie pozwolić na tak daleką wycieczkę. Ja, bo nie czuję zmęczenia.

— Ależ panowie! Chodźcie czemprędzej do izby, rozsiądźcie się wygodnie na kanapie i wypocznijcie! Ugotuję kawy, byście mogli się pokrzepić i posilić, bo musicie być bardzo głodni.

— Nie trzeba, nie trzeba! — wołali za nią przybysze, gdy, nie zważając na ich protesty, znikła prędko w sieni, przejęta do głębi zmęczeniem Ligonia.

— Nie protestujcie, panowie, bo się to na nic nie zda! Jesteście gośćmi Lompów i musicie poddać się pod rozkazy mej pani domu. Energiczna to kobieta i nie znosi oporu! — wyznał z szczęśliwym uśmiechem gospodarz. — Na niej spoczywa cały dom. Prędko zeszedłbym na dziady, gdyby jej nie było.

— Winszujemy tak dobrej małżonki! — rzekł Ligoń z wielką powagą. — Naszym kochanym śląskim matkom chyba żadne inne nie dorównają.

— Bardzo żałuję, żeście panowie nie przyszli trochę wcześniej, — wywodził Lompa, — prowadząc gości do pokoju. Bylibyście dostali obiad. Teraz, niestety za późno. Lecz co się zwlekło, nie uciekło. Zostaniecie na kolacji i na noc, bo dziś was z powrotem nie puścimy. Jutro niedziela. Pięknie się tak złożyło i będziemy mogli do syta się nagadać.

— Serdecznie dziękujemy! — rzekli równocześnie przyjaciele, postępując za gospodarzem do wnętrza domu.

— Po kawie wybierzemy się do pobliskiego lasu, gdzie będziemy mogli pogwarzyć sobie, ile tylko serce i rozum każe. Tu w domu mogliby nam ludzie przeszkadzać, bo interesentów u mnie nigdy nie brak. Mając blisko do mnie, mogą przyjść kiedyindziej.

Wprowadziwszy gości do pokoju, usadowił ich, według wskazówki żony, na potężnych rozmiarów kanapie. Jego ruchy jak i mowa były powolne, pełne powagi i namaszczenia. Był to typ dawnego nauczyciela wiejskiego. W Lubszy mieszkał od 1821 r., mając wtedy 24 lata wieku. Przywykł do wolnego mówienia, bo wymagał tego niewygimnastykowany umysł ludu wiejskiego, z którym miał bezustannie do czynienia. Przestając ciągle z nim, z czasem dostosował się do niego.

Zacierając i składając ręce na znak wielkiego zadowolenia i radości, rzekł:

— Cieszy mnie bardzo, że panowie przyszli do mnie. Zacząłem przed rokiem dźwigać szósty krzyżyk. Napisałem już dosyć sporo różnych rzeczy, starając się uświadomić mymi pracami rodaków na Śląsku. Miałem już u siebie różnych gości z Poznańskiego, Krakowa i Kongresówki. Byli to ludzie, którzy przybywali do mnie, by się dowiedzieć ode mnie coś dokładniejszego o stosunkach, panujących u nas. Dotąd jednak nie miałem tego szczęścia, żeby do mnie przyszli rodowici młodzi Górnoślązacy i chcieli ze mną mówić o przyszłej pracy nad naszym nieszczęśliwym ludem. Przybycie panów jest wobec tego dla mnie czemś zupełnie nowym i nieoczekiwanym. To niezwykłe zdarzenie ogromnie mnie cieszy i z radością mą wcale a wcale się nie taję przed wami.

Tu otworzył swą nieodstępną tabakierkę i jakby na znak wdzięczności, zaczął częstować młodzieńców tabaczką. Ci, chcąc nie chcąc, wzięli po szczypcie i zażyli. Zaczęło się u obu kichanie na wyścigi. Gospodarz, obserwując z uśmiechem efekt swego poczęstunku, rzekł:

— To zdrowo, bardzo zdrowo, kichnąć sobie uczciwie. Tabaczka przeczyszcza kanały nosowe, obmywa oczy, powierci nieraz odrobinkę w mózgu i przeszkadza zarażeniu się mikrobami, fruwającymi —

jak mówią ludzie, — niewidzialnie dla naszego oka w powietrzu.

— Jeśli tak, niech pan pozwoli mi wziąć jeszcze jednego niucha! — prosił Szaflik.

— Mnie także! — wtórował Ligoń.

— A to dla czego? Czy panowie boją się jakiej choroby?

Tu młodzi, zażywszy tabaki i kichając jak najęci, zaczęli opowiadać na przemian i wzajemnie się uzupełniając, o wypadkach, których byli świadkami w Solarni i innych wioskach powiatu lublinieckiego.

— Moi kochani! To bardzo smutna nowina. Nie przypuszczałem, żeby aż do naszego powiatu dotarła zaraza. Niech panowie nie wspominają o tym mej żonie! Nie chciałbym jej niepokoić. Może zaraza zatrzyma się w swym pochodzie i nie dotrze do naszych stron. Już dosyć ofiar pochłonęła. Straszne to nawiedzenie Boskie! Tyle ludu już zmarniało, a końca jak nie widać, tak nie widać. Najwyższy czas, by wszczęto jakąś zbiorową akcję dla otworzenia rządowi i światu oczy na to grozą przejmujące położenie. My sami jesteśmy bezsilni. Trzeba przede wszystkim dać jeść głodnemu ludowi, a równocześnie sprowadzić lekarzy i medykamenty. Ludzie nasi nie mają najmniejszego pojęcia o higienie. Zdrowi piją wodę z tych samych naczyń co chorzy, czerpią nimi wodę z wiader studziennych i przenoszą zarazki choroby do studzien i źródeł. Pisuję dosyć często do władz we Wrocławiu i w Berlinie. Napiszę także w tej sprawie. Lecz głos jednego człowieka to głos wołającego na puszczy. Mamy na to najlepszy dowód na akcji zaradczej landrata rybnickiego. Inni landraci go nie poparli i rząd milczy jak zaklęty. Ten sam los spotkałby moje odezwanie się i zlekceważonoby je jeszcze bardziej, niż wołanie barona Dyrana. Musimy poruszyć cały kraj. Zwrócę się w tej sprawie do wszystkich znajomych na całym Górnym Śląsku. Wy weźcie na siebie powiat strzelecki, albo chociaż dostępną dla was część. Musimy ułożyć wspólną odezwę i zebrać pod nią jak najwięcej podpisów, chociażby po kilkanaście z każdej wioski. Na tak wszczętą i ujętą akcję rząd będzie musiał zareagować. To by już diabli byli, gdyby dalej miał milczeć i pozwalać ludziom mrzeć, a kraj ogołacać z mieszkańców i pracowników.

Przy tych słowach huknął pięścią w stół, że aż położona na nim tabakierka podskoczyła. Przypomniała mu swą zawartość. Zażył potężnego niucha i podał ją w zamyśleniu swym słuchaczom. Szaflik, widocznie już oswoiwszy swój nos z tabaką i mniej kichając, zawołał, przytakując głową:

— Tak, panie! Bardzo mi się podoba ten projekt. Tylko zbiorowe wołanie o pomoc i ratunek może coś wskórać i musi wywołać u góry odpowiedni rezonans.

— To się wie! Jak to dobrze, że panowie przyszli do mnie! Nie byłbym tak prędko wpadł na ten pomysł. Opisywane przez panów obrazy grozy przyspieszyły jego narodziny.

— Byłoby dobrze, gdyby nam pan przygotował odpowiednią odezwę do rządu, — zauważył Ligoń, — my już potem zbierzemy pod nią podpisy. Ponieważ będzie potrzeba więcej egzemplarzy, bo jak mi się widzi, dla każdej poszczególnej wioski, sporządzimy jej odpisy w potrzebnej ilości.

— Odezwę napiszę dziś wieczór i panowie będą ją mogli zabrać z sobą.

— Dziękujemy, dziękujemy!

— Wybierając się do pana, nie myśleliśmy wcale o tej tak niezmiernie ważnej sprawie, — zapewniał Szaflik. — Jest ona przypadkowym dodatkiem do głównego celu, dla którego tu przyszliśmy.

— No, proszę! Jestem ciekawy usłyszeć życzenie panów!

— Jużeśmy o tym wspomnieli zaraz przy przywitaniu się z panem! — podjął Szaflik. — Mnie musieli ojciec odwołać z gimnazjum, bo nie mają pieniędzy i nie mogą więcej łożyć na me kształcenie. Chciałbym się poświęcić kupiectwu lub jakiemu podobnemu zawodowi, bo na żadnego pisarka czy urzędnika się nie nadaję, gdyż przy obecnych stosunkach musiałbym zostać Niemcem, bo Polaka, otwarcie przyznającego się do swej narodowości, nigdzie nie przyjmą, albo przyjąwszy, wypędzą przy pierwszej lepszej nadarzającej się sposobności, gdy dowiedzą się o jego przekonaniach politycznych. A przyznawanie się do polskości jest polityką, jak mi to kilkakrotnie oznajmiał dyrektor gimnazjum. Już tam miałem rozmaite kłopoty z powodu mej polskości. Chcę otwarcie występować jako Polak wobec ludzi, podobnie, jak to pan czyni. Mój przyjaciel Ligoń, z którym wychowaliśmy się razem od naszych najwcześniejszych lat i jesteśmy nieodstępnymi towarzyszami, podziela w zupełności mój pogląd. Chcielibyśmy coś dobrego zdziałać dla ludu i dla naszej sprawy narodowej, lecz nie wiemy, jakby najlepiej zabrać się do pracy. Nie mając u siebie w domu odpowiednich doradców, wpadliśmy na myśl, że pan będzie mógł nam udzielić odpowiednich wskazówek. Jesteśmy więc u pana i prosimy o nie.

— Zanim odpowiem na poruszoną przez pana sprawę, chciałbym zwrócić uwagę na jeden szczegół w pańskim przemówieniu. Bardzo mi się podoba, że panowie, mówiąc o rodzicach, posługują się w stosunku do nich trzecim przypadkiem liczby mnogiej. Jest to nie co innego, jak oddawanie im należnej czci, co u naszej młodzieży wysoko cenię. Ojcostwo i macierzyństwo to pewnego rodzaju majestat, dla którego dzieci powinny mieć należyty respekt. Choćbyście wykierowali się na Bóg wie jakich ludzi wpływowych, nie odstępujcie od tego naszego pięknego

starodawnego zwyczaju polskiego. Za to muszę was pochwalić.

I znowu, jak gdyby w nagrodę, poczęstował ich swą tabakierką, poczem zaczął:

— Co do sprawy jako takiej miałbym dla was taką radę: Mamy różne dobre gazety i jeszcze więcej dobrych książek. Zacznijcie skupiać koło siebie ludzi chętnych do nauki. W wolnych chwilach, naprzykład w wieczory sobotnie lub w niedziele po nieszporach, zaproście ich do siebie i przeczytajcie im jaki, według waszego przekonania stosowny artykuł albo też jaki interesujący ustęp z broszury lub książki, a potem przystąpcie do dyskusji nad przeczytaną sprawą. Ja tak robię u siebie już od szeregu lat z wielce dodatnim rezultatem. Mam w Lubszy i okolicy dzięki tej metodzie już sporo światłych gospodarzy. Ludziom się to bardzo spodobało i nie mogą się doczekać następnego zebrania. Światlejsi i ofiarniejsi z pośród was powinni się opodatkować dobrowolnie, na co kogo stać, a potem za zebrane pieniądze sprowadzajcie gazety i książki. Mieć będziecie zawsze materiał do czytania i dyskusji. Przekonacie się, że już po roku takiej pracy zauważycie wielki postęp u waszych uczni. Im dłużej praktyka ta trwać będzie, tym znakomitszy będzie rezultat. Takie kółka samokształcenia zakładajcie wszędzie, gdzie się nadarzy sposobność. Na ich kierowników wybierajcie waszych wychowanków, którzy już będą mieli dosyć wprawy w ich prowadzeniu. Z biegiem czasu duży szmat kraju pokryje się siecią kółek samokształcenia i wychowania narodowego. Do tej roboty nie trzeba żadnych mędrców i filozofów. Szczypta zdrowego rozumu chłopskigeo i dobre chęci wystarczą.

Zatrzymał się na chwilkę, puknął palcem w tabakierkę, jakby się zastanowić chciał nad tym, czy ma jeszcze co dodać. W tej chwili weszła pani Weronika ze sporym dzbankiem kawy i nakrywszy stół kolorowym obrusem, poprosiła gości, by się posilili, męża upomniawszy, by, zagłębiając się w dysputę, nie zapomniał czasem o przynaglaniu ich do picia i jedzenia.

— Mam sporo zajęcia w kuchni, na podwórzu i w oborze, — tłomaczyła. — Chciałabym także chętnie z panami pogawędzić, ale zajęcia nie pozwalają. Dopilnuj więc ty, stary, żeby mi panowie nie pomdleli z głodu.

To rzekłszy, wyszła z miłym uśmiechem na ustach.

Lompa z namaszeczeniem poczęstował wpierw gości i siebie ze swej ulubionej tabakierki, a dopiero potem przystąpił do nalewania kawy do filiżanek, wzywając ich, by nie dali się prosić, lecz by pili i jedli jak u siebie w domu. Sam dla służenia dobrym przykładem, obłożył sobie chleb grubą warstwą masła.

— Niech się panowie nie krępują i posmarują sobie uczciwie chleb. Masła i chleba, chwała Bogu, u nas nie brak. Cztery dojne krówki stoją w oborze, soczystej paszy mamy pod dostatkiem, to też masło jest smaczne. A zdrowy to i pożywny pokarm. Proszę więc nie gardzić, czym chata bogata, tym rada. Na młodzieńców pomimo, że niedawno spożyli jajecznicę u żyda, co gospodarzowi teraz wyznali, nie trzeba było nalegać. Sprzątali skibkę smacznego chleba za skibką, popijając orzeźwiającą kawą.

Lompa wpadł w zapał oratorski i jął wykładać cały swój system nauczania w szkole, w której wychowywał corocznie do 50 dziatek, i metodę kształcenia wolnej od obowiązku szkolnego młodzieży, szczególnie męskiej, która chętnie przychodziła do niego w wolnych chwilach na wykłady. Był w swym żywiole. Rozbierał przedmiot po przedmiocie, a więc historię narodu polskiego w zarysie krótkim, ale wystarczającym dla młodzieży wiejskiej, dalej historię i geografię Śląska, teren zamieszkiwany przez Polaków i powolne, ale stałe i nieubłagane posuwanie się niemczyzny w tym kraju, przez swoich zaniedbanym a przez obcych wzgardzonym, a jednak z taką chciwością zagarnianym. Następnie jął rozwijać swój światopogląd dowodząc, że wszystkie zjawiska społeczne należy traktować z religijnego punktu widzenia, gdyż człowiek bez religii, zwłaszcza, jeśli nie ma wyrobionych własnych przekonań i poglądów etycznych, staje się samolubem i zdziercą bezlitosnym. Nigdy nie należy kierować się w życiu nienawiścią, lecz, przeciwnie, we wszystkim trzeba postępować według zasad miłości bliźniego, co jednak nie jest i nie może być identyczne z dobrowolnym nastawianiem gardła pod nóż na sposób owiec i baranów, które, jak to nieraz miał okazję obserwować, ze łzami w oczach podają rzeźnikowi gardło.

(Ciąg dalszy nastąpi).

SPOŁECZEŃSTWO JEST OBOWIĄZANE KARMIĆ I ODZIEWAĆ KAŻDEGO, KTO GŁODNY I NAGI. NIECH DLA UBOGICH I BEZROBOTNYCH ZŁOŻY DATEK WEDŁUG MOŻNOŚCI KAŻDY, KTO MA PRACĘ I ZAROBEK! KTO ZARAZ DAJE, — DAJE PODWÓJNIE. W KAŻDEJ GMINIE ISTNIEJĄ KOMITETY DOBROCZYNNOŚCI, KTÓRE PRZYJMUJĄ OFIARY DLA BIEDNYCH I BEZROBOTNYCH

Wróżby Sylwestrowe.

Stara to rzecz, jak świat, a przynajmniej jak ludzkość — odgadywanie przyszłości, wróżenie o przyszłych losach życia. W domowym obyczaju polskim główną rolę mają wróżby zamążpójścia i ożenku, czynione w dniach uprzywilejowanych, których jest pięć w ciągu roku. Mianowicie: w listopadzie wróżą sobie młodzieńcy w wigilię Św. Katarzyny, a dziewczęta w wigilię Św. Andrzeja. Potem, przy wigilijnym stole, bawią się wróżbami płci obie, a w wigilię Nowego Roku i Św. Jana Chrzciciela głównie tylko dziewczęta. Dlaczego obrano powyższe dni na wróżby, da się poniekąd wytłómaczyć tem, że każda przepowiednia doroczna musi stać w związku z początkiem jakiejś doby rocznej.

Lud nasz żegna rok stary i wita nowy z wielką wesołością. Figle i dowcipy młodzieży sypią się jak z rękawa. Chłopcy i dziewczęta czynią sobie psoty wzajemnie. Zamazują szyby gliną, wciągają na komin bronę lub drzwi chaty pniem zakładają, żądając okupu za jego usunięcie.

Po wieczerzy w dzień Św. Sylwestra dziewczęta przystępują do wróżb zamążpójścia. Więc leją na wodę roztopiony wosk lub ołów, dopatrując w krzepnących tych materiałach kształtów symbolicznych. Tej ulał się koń lub podkowa — pójdzie za kowala; tej habit — zostanie mniszką; innej wieniec — przepędzi rok w panieństwie itp.

Zwyczaj obchodzenia wigilii Nowego Roku zabawą i witanie północy kielichem i muzyką istnieje u wszystkich narodów. Wieczór ten spędzają inne ludy również przy zabawach wróżebnych.

Oświadczenie.

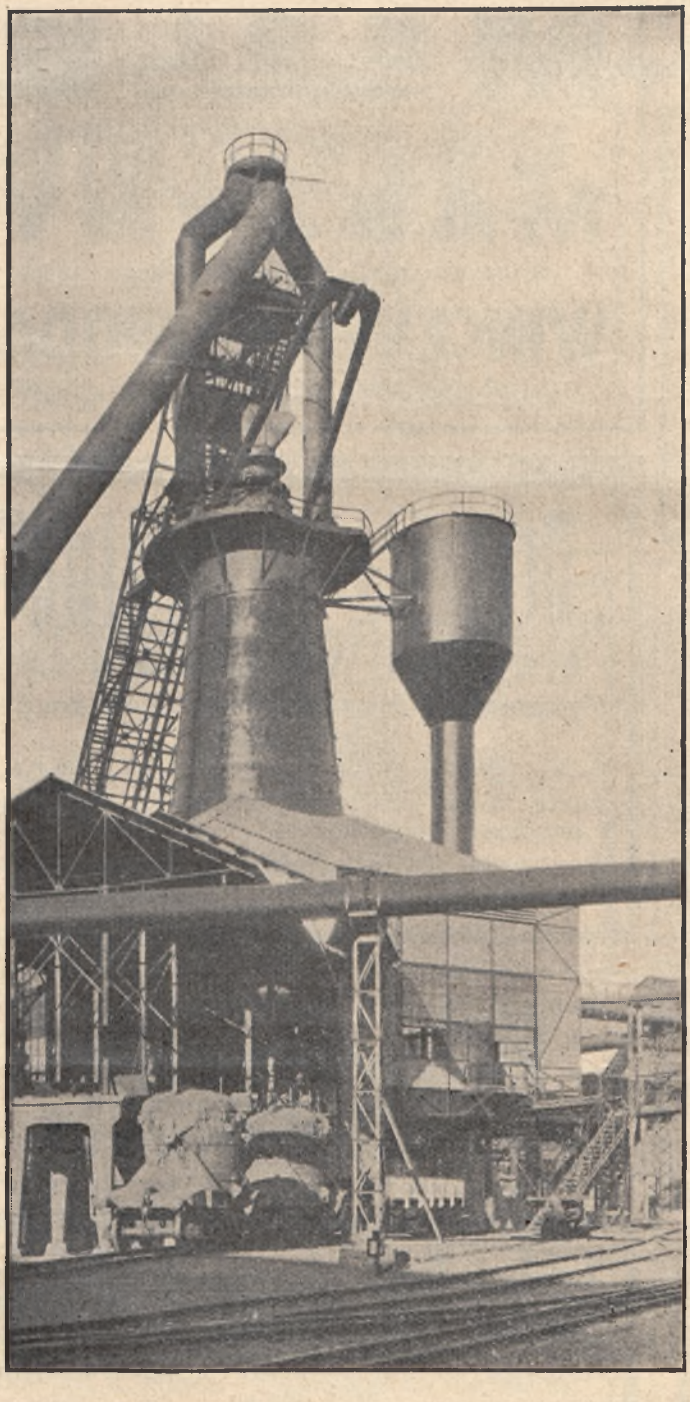
W związku z notatką „Polski Zachodniej", pomieszczoną w nr. 333 z dnia 4 b. m., pod adresem kol. inż. Zakrzewskiego — p. o. prezesa w Skupieniu Śląskim „Zarzewia" — z racji Jego udziału w II zjeździe „Kuźnicy" w dniu 14. XI. rb. w Katowicach, Zarząd Skupienia niniejszym oświadcza, iż wzięcie udziału w wymienionym zjeździe młodzieży śląskiej przez kol. inż. Zakrzewskiego z ramienia tut. „Zarzewia" było postanowione przez Zarząd Skupienia.

Nad wywodami i informatorami „Polski Zachodniej" — przechodzimy do porządku dziennego.

Zarząd Skupienia Śląskiego
Stowarzyszenia Uczestników Ruchu Niepodległościowego „Zarzewie".



Rękopisów redakcja nie zwraca. — Redaktor przyjmuje w każdą sobotę w godz. od 4—6 popołudniu.
Adres redakcji i admin. „Placówki" Katowice, Ks. Damrota 8, III. — Konto P. K. O. 302 603 Katowice.
Odpowiedzialny wydawca-redaktor: Józef Grzegorzek, Katowice, ul. Ks. Damrota 8.
Drukarnia Antoniego Gorzelika i Jana Wąsika, Katowice, ul. Kościuszki 39. — Telefon 302-19.



PORCELANA

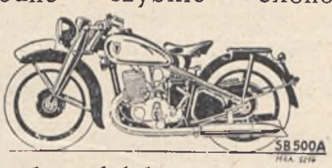
STOŁOWA: biała i dekorowana
APTECZNA I LABORATORYJNA
ELEKTROTECHNICZNA: instalacyjna jak: izolatory, rolki, tulejki, fajki, rozetki sufitowe itp.
MONTAŻOWA, jak: gniazda, wyłączniki, oprawki, bezpieczniki, armatury hermetyczne itp.
IZOLATORY do wysokiego napięcia do 35.000 V.

GIESCHE S. A.

FABRYKA PORCELANY :-: KATOWICE - BOGUCICE

MOTOCYKLE D. K. W.

niezawodne — szybkie — ekonomiczne



Główne przedstawicielstwo na Wojew. Śląskie, Krakowskie i Kieleckie

FR. GRABOWSKI i SKA

Katowice, Raciborska 14 16, tel. 352-77 i 324-10

FORTEPIANY I PIANINA

B. Sommerfeld

SKŁAD FABRYCZNY:
Katowice, ul. 3-go Maja 36a. — Tel. 348-98.

Śląska Wytwórnia Sprężyn i Resorów

Warsztat Reparacyjny Resorów i Samochodów

A. DITTRICH

Właść.: R. JOCHEMCZYK
Katowice, ul. Starowiejska 3, tel. 354-68.

Wykonuje: wszelkiego rodzaju **sprężyny** dla przemysłu, jak i **resory** do wszelkich pojazdów mechanicznych. — Ceny konkurencyjne.

KAWIARNIA JÓZEF PRZYBYŁA

KATOWICE, ŚW. JANA 11.
TEL. 304-42

Codziennie świeże pieczywa pierwszej jakości.
PLACKI — TORTY.
KAWA — HERBATA — KAKAO.

„RADIOŚWIAT"

Właść. A. SERGIEJEW
Hurtownia Radiosprzętu i Sprzedaż Radio-odbiorników.
Katowice, ul. Mielęckiego 8, tel. 354-60.

„GLOBUS"

FABRYKA PIŁ I NARZĘDZI
właść. Fryderyk W. Jüttner
KATOWICE, UL. KOŚCIUSZKI 29
Tel. 342-78.

Firma SZCZEPAN GIL

Właść. Bronisław Plinzner
Katowice, ul. Marsz. Piłsudskiego 43, tel. 307-48.
Szklarnia, skład i oprawa obrazów.

Śląska Fabryka Szyldów Emaliowanych

„EMAJS"

Rudolf Antonik i Sławomir Sidło
Katowice, ul. Piłsudskiego 67. — Tel. 326-63.
Szyldy emaliowane, szklane, lakierowane, mosiężne, litery metalowe i drewniane.